PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 11. *Warszawa, 14 marca 1914.* Widok 3.

Żywy drogowskaz.

1.

Pisma codzienne, w dziale zwykłych niewinnych wiadomości, podały fakt niepodobny do wiary: myśl cofa się przed nim i szuka ucieczki, jak przed okropną zjawą.

Prasa codzienna posiada, z małymi wyjątkami, słodki przywilej: mózgi ma z pajęczyny, zato żołądki — stalowe; przemyśleć nic nie umie, natomiast wszystko trawi. Więc łatwo strawiła i ten fakt, którego sumienie polskie nie strawi napewno, i napewno nie strawi rzeczywistość polska. Oby natomiast znalazła dość siły w sobie, by go wypluć tak, jak się z ust wypluwa jadowity owoc, podany ręką zbrodniczej intencji lub niemniej zbrodniczej ślepoty.

2.

Czym jest kooperatywa?

Z samej nazwy i ze swej istoty jest wezwaniem do zgody i wzajemności. Na gruncie walki społecznej jest zakwitającym szczepem pojednania. Ponad kontrastem szerzy harmonję, ponad przeciwieństwami — wspólność.

I trzebaż było, że instytucje kooperatywy chwyciło w ręce swe duchowieństwo, aby idea, na całym świecie służąca dziełu zgody, u nas, w Polsce, przemieniła się w rozsadnik nowej walki. Wszędzie kooperatywa stała się olbrzymią spójnią społeczną: u nas tylko w rękach kleru, zamienia się na klin, który społeczeństwo rozbija i łamie.

3.

Wszelako i zaborczość kleru polskiego dotychczas miała swe granice. Nie krępowała się ona w wyborze celów, ale krępowała się w środkach.

Duchowieństwo dążyło bezwzględnie do zmonopolizowania kooperatywy, ale w dążeniach swych posługiwało się wpływami swej przewagi moralnej, w rozmiarach złagodzonych przez kulturę nowoczesną. Nie odwoływało się otwarcie do brutalnej siły fizycznej.

Zdawało się, że brutalna siła fizyczna na zawsze już wykreślona została z obrębu polityki kościelnej. Że istnieje kres pewien, po za który duchowieństwo nie śmie się posunąć. Że nie zechce się poza ów kres posunąć zwłaszcza w Polsce, w narodzie, gdzie przemoc fizyczna ma za sobą tak bogatą okrucieństwami, tak sprawiedliwie znienawidzoną historję.

Aż oto dowiadujemy się, że zaufanie nasze było płonne. Kler nie chce znać żadnych powściągów wewnętrznych: iść postanowił aż tam, dokąd mu rzeczywistość zewnętrzna pozwoli.

4.

W Czeladzi (djecezja kielecka) dwaj działacze na polu kooperatywy pp. Podczaski i Kędzierski bywali oddawna przedmiotem ostrych napaści ze strony miejscowego duchowieństwa. Próżne jednak były najzłośliwsze wycieczki i intrygi wojującego kleru: żaden z wymienionych działaczy nie ustępował z posterunku,

na którym im obowiązek obywatelski i siła przekonania wytrwać nakazywała.

Wówczas biskup miejscowy, August Łosiński wydał z katedry pasterskiej wyrok stanowczy i krótki, niby komenda wojenna:

— Wydalić obu.

Wykonanie zaś wyroku, wedle doniesienia pism, zlecone zostało parafjanom oraz proboszczowi parafjalnemu ks. Rogóyskiemu. Ten ostatni użyty został nietyle w roli narządu wykonawczego, ile środka nacisku na parafjan, środka niesłychanie wyrafinowanego. Ksiądz Rogoyski bowiem umiał zaskarbić sobie miłość i szacunek parafjan: przywiązali się doń, jak do ojca. I na tej to strunie przywiązania zagrać postanowił biskup.

— Albo zabiorę wam — rzekł — ks. Rogóyskiego, albo wydalicie pp. Kędzierskiego i Podczaskiego.

Oto sposób, w jaki dostojnicy kościoła wyzyskują miłość dla celów nienawiści i zemsty. Oto prawdziwie niezawodny sposób, w jaki miłością popycha się ludzi ku gwałtom i przemocy.

Biskup, przed sumieniem ludu swego, stanął z rozkrzyżowanymi rękoma, jak żywy niezłomny drogowskaz: dłoń jedna wyciągnięta w kierunku zdeptania przez parafjan własnych uczuć; dłoń druga wyciągnięta ku spełnieniu przemocy!

Którą-ż z tych dwu dróg wybierze nieszczęsny chłop, któremu z najpiękniejszego uczucia ukuto jarzmo, by go powlec na nim do stóp ohydy moralnej? Którąż z dwu dróg wybierze: czy sercu swemu zada krzywdę, czyli też bliźniego skrzywdzi?

5.

Uprzytomnijmy sobie niewzruszoną powagę biskupa, którego wyrok przed oczyma chłopskimi istotnie staje się drogowskazem nie do ominięcia, nie do przezwyciężenia. Uprzytomnijmy sobie dalej, że parafjanin nie ma w swym rozporządzeniu żadnych środków prawnych ku wydaleniu z parafji osób prywatnych, żadnych środków lojalnych: tylko pogróżki, tylko przemoc. Uprzytomnijmy sobie wreszcie, że wyrok biskupa paść musiał rzeczywiście na podatną i niebezpieczną glebę, skoro organ prasy miejscowej *Iskra* radzi wręcz zagrożonym przez biskupa osobom, by niezwłocznie odwołali się do właściwych czynników celem zabezpieczenia życia i mienia. Uprzytomnijmy sobie to wszystko i, nie wchodząc w rozbiór zasług lub kwalifikacji osobistych dwu osaczonych ofiar, zapytajmy:

C z y w o l n o j e s t p r z e d l u d e m s t a w i ć d r o g o w s k a z y p o d o b n e?

Nie powołując się bynajmniej na świetlane słowa ewangelji, z którą przecież duchowieństwo nie powinnoby całkowitego zrywać związku, ale na zwykłym poziomie etyki ludzkiej, etyki obywatelskiej stając, rzucamy przed ogółem pytanie:

Czy wolno jest człowieka zamykać w obrębie takiej alternatywy, iżby wierność swemu uczuciu okupić musiał krzywdą bliźniego, a miłość dla bliźniego ocalić mógł jedynie za cenę sprzeniewierzenia się temu, co czci i kocha?

Czy wolno jest człowieka w podobnej alternatywie, jak w więzieniu zamykać, czy wolno to czynić komukolwiek, choćby na biskupiej zasiadał katedrze?

Niech odpowiedzą wszyscy na to pytanie. Niech odpowiedzą sobie w duszy, w sumieniu. Niech odpowiedzą na nie przedewszystkim ci, którzy całują biskupów po rękach, nie patrząc... czyje.

Redakcja **PRAWDY** z rozporządzenia władzy administracyjnej skazana została na zapłacenie 200 rubli kary za wydrukowanie w numerze trzecim artykułu p. n. „Echa Prawdy".

Skry.

Łatwiej dobrze paplać po francusku, niźli milczeć po angielsku.

***

«Sen nie zna kastowości; śpiąc jesteśmy wszyscy równi sobie», — mówiła królowa do pazia.

ORJON.

Echa Prawdy.

I. Hakatyzm katolicki. II. Światło karnawału. III. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. IV. Miara wyjałowienia.

I. Patryjotyzm wyznaniowy podsunięty zamiast patryjotyzmu narodowego mści się coraz dotkliwiej na naszych rodakach pod rządem pruskim. Dziś nawet najfanatyczniej klerykalne dzienniki stale cytują przykłady germanizacji przez kościół i ucisku polskości w Kościele. Mimo to długoletnia tresura sprawia, że nikt jeszcze nie ośmiela się ani uogólniać tych faktów ani z nich wysnuć logicznych wniosków i praktycznych wskazań...

W Westfalji kolonje polskie są już tak liczne, że posiadają nietylko własne stowarzyszenia i pisma lecz biorą czynny udział w wyborach, stawiając własnych kandydatów. Za ludem polskim ciągną tam i księża wielce troskliwi o zbawienie swych owieczek lecz bynajmniej nie uwzględniający ich doczesnych narodowych dążności i potrzeb. Język polski jest przez nich systematycznia z praktyk kościelnych usuwany; niektórzy księża nie dopuszczają go ani w przyrzeczeniach chrzestnych, ani w spowiedzi, ani w przysięgach małżeńskich.

Świeżo zdarzyło się, że niejaki Walenty Przewoźny żeniąc się z Polką, nie rozumiejącą po niemiecku, domagał się odebrania przysięgi małżeńskiej po polsku. Proboszcz, ks. Sondermann, choć z młodą parą przy umowie o zapowiedzi po polsku rozmawiał, oświadczył nowożeńcom, że «mogą żyć jak chcą», ale on im po polsku ślubu nie da. Zwrócono się do biskupa w Paderbronie; ten zrazu zdawał się uwzględniać słuszne argumenty narzeczonego, w końcu jednak rozkazał zastosować się do nakazu proboszcza.

Niepodobna w tym wypadku zwalać winy na karb władzy świeckiej, gdyż ta w Niemczech zupełnie nie miesza się do kościelnych ślubów. Wobec prawa istnieją tylko śluby cywilne dla wszystkich obowiązujące, a sakrament małżeński jest wyłącznie religijnym aktem, pozbawionym urzędowego charakteru.

Ofiarą kościelnego hakatyzmu padają również nieraz i księża, o ile nie zapierają się swej polskości. Działo się tak zwłaszcza w djecezji wrocławskiej, gdzie rządy sprawował protektor księdza Hanyckiego, kardynał Kopp. Usuwał on z parafji polskich nawet księży politycznie neutralnych, trzymających się zdala od wszelkiej agitacji, jeśli tylko germanizacji w kościele nie uprawiają. Takim wygnańcem ze stron ojczystych był ksiądz Skiba, wprost szykanowany przez władzę kościelną. Niedawno stał się nią znowu ksiądz Wojciech z Pilchowic, którego przenoszono naprzód z parafji do parafji, póki go zupełnie nie usunięto ze Śląska aż do Kołobrzegu, w czysto niemiecką okolicę.

Zbrodnią jego było to, że wygłaszał kazania w pięknej, czystej polszczyźnie oraz że młodzieży polskiej z marjańskiej kongregacji pozwolił odegrać religijne przedstawienie po polsku.

Naiwni Poznańczycy i Ślązacy łudzą się, że Stolica Apostolska wejrzy w te sprawy i ukróci kościelne polakożerstwo, wiemy przecież jednak, że Watykan tylko wtedy narodowe interesy i uczucia katolików uwzględnia, jeśli obrażanie ich grozi odszczepieństwem od Kościoła.

II. Balowanie dla celów politycznych, społecznych, dobroczynnych, oświatowych, religijnych, stało się u nas tak powszechnym zwyczajem — pisze *Humanista Polski* — że trudno powiedzieć, czy huczny karnawał tegoroczny był wylewem potęgowanej wesołości, czy też wysiłkiem filantropji.

Istotnie: Warszawa jest szczególnym miastem, — najpoważniejszym z wesołych! W niej nawet pary tańczące służą sprawie społecznej. Tylko, że nigdzie powaga nie posiada znamion tak lotnej lekkości, jak w Warszawie. Rzekłbyś, zdobyliśmy rekord powagi w tańcu, ażeby świat cały olśnić rekordem taneczności... w powadze.

Słyszycie?... jeszcze w uszach, jeszcze w pamięci dźwięczą ostatnie takty karnawału: nim skonają, przedłużcie je o jeden akord, o jedną w tańcu figurę! Muzyka taneczna przeistoczy się w... filozofję życia narodowego. Tak jest! Tam gdzie balowanie wchodzi w zakres działalności społecznej, tam z muzyki, z tańca wystrzela światło filozofji społecznej. Tam, gdzie bal bywa wysiłkiem społecznym, tam znużenie po balu staje się — mądrością życia. Co więcej: staje się kwalifikacją, niezbędnie przy rozstrzyganiu wszelkich spraw narodowych wymaganą.

Gdy ktoś w Warszawie wystąpi ze sprawą publiczną: z pomysłem, z radą, z krytyką lub sądem, dotyczących ważnej dziedziny życia zbiorowego, wnet ze wszystkich stron opadną go pytania zaniepokojonych głów: Czy ma należyte do zabierania głosu kwalifikacje? czy jest należycie przygotowany, t. j. czy był wodzirejem? Jeśli nie był, w takim razie ogół daje mu stanowczą odprawę:

— Potańcz pan naprzód! Potym z nami będziesz mógł pogadać... poważnie. Sala balowa jest także akadamją. Do źródeł kwestji społecznych, a kto wie? może i do źródeł duszy polskiej dotrze ten, kto ku nim w lansadach tańca sunie. Na płynnych rytmach walca niejeden adwokat dobił do portu karjery. Nie jeden poeta zdobył sławę w mazurze. Niejedna instytucja zrodziła się lub wzrosła stąd, że w porę zagrano nam do kontredansa. A czymże mazur lub kontredans jest wo-

bec *tanga* lub po błogosławionej przez papieża *furlany*? Żadna nadzieja, gdy się ją wiąże z *tangiem*, nie może być wygórowana. Byle tańczyć z werwą, z poświęceniem, szczerze! Tak, tak! potańcz pan *tango*, potym będziemy cię słuchać.

.... I któżby był przypuszczał? Potańczyliśmy; przetańczyliśmy karnawał, jak nam zalecono i... i rzeczywiście staliśmy się mędrsi; rzeczywiście, dojrzalsi.

Tak, przynajmniej sądzą pewne sfery opinji, nawołując do podjęcia w świetle minionego karnawału rewizji stanowiska narodowego względem kwestji szkolnej.

O, ironjo!

III. W zeszłym tygoniu rozpoczęto w Dumie, a raczej w jednej z komisji dumskich, rozprawy nad projektem zniesienia serwitutów rolnych. Niema potrzeby uwydatniania ważności tej reformy.

Sprawa serwitutów, jątrząca się w ciągu lat kilkudzicsięciu, była cierniem tkwiącym w organizmie wiejskich stosunków: uniemożliwiała ona powstanie i rozwój na zdrowych podstawach opartej warstwy gospodarzy drobnych. Niema potrzeby uwydatniania ważności tej reformy. Coby raczej podkreślić należało z naszego stanowiska, to to, że przychodzi reforma ta tak późno; w chwili, gdy zło, wynikłe z niezastosowania jej w porę, zatruło na znacznym obszarze zycie wsi polskiej, parailżując jej gospodarkę, wypaczając jej etykę.

To też ze zdziwieniem czyta się te radosne i pełne tryumfu słowa jakimi «Gazeta Warszawska» wzmiankowaną reformę wita: rzekłbyś, honory domu czyni serdecznemu gościowi, który jest wysłannikiem blizkiego przymierza lub zbratania...

«Zniesienie serwitutów» — pisze Gaz. Warszawska — będzie ostatecznym zamknięciem sprawy włościańskiei, rozumianej jako zagadnienie uregulowania stosunków we władaniu ziemią, sprawy, ciągnącej się w Królestwie Polskim przez sto lat jego istnienia. W sprawie tej opinja społeczna polska, o ile mogła się była wypowiedzieć, zajmowała zawsze stanowisko, będące następstwem szerszego ujęcia i głębszego zrozumienia. Poczynając od obfitej literatury publicystycznej, poświęconej tej sprawie od roku powstania Królestwa, poprzez działalność Sejmu, obradującego w czasie wypadków roku 1831, i poruszenie opinji w chwili powstania Tow. Rolniczego, kończąc na pamiętnych uchwałach Tow. Rolniczego z lutego 1861 i postanowieniach z roku 1863 w chwili rozpoczęcia powstania, zawsze myśl o całości stosunków krajowych przyświecała w tej dziedzinie krokom i poczynaniom. Dziś, gdy mają być zamknięte akty sprawy, przedstawicielstwo nasze do tej tradycji wiernie się stosuje i stara się postępowanie swoje zastosować do wskazań i zasad, które przekazała przeszłość i które obowiązują dziś w rzeczach mniejszej wagi, jak niegdyś obowiązywały w rzeczach wielkiej doniosłości...»

Takimi kroplami, niby przez słodycz zaprawioną truciznę, sączy «Gazeta Warszawska» w duszę społeczeństwa fałsz za fałszem, ale ostrożnie, ale powoli, aby nie wywołać odporu, buntu, niesmaku.

A więc naprzód usypia się sumienia polskie pochwałą dla przeszłości, w której wszystko toczyło się na wysokości zadania, wszystko zmierzało ku rozwiązaniu sprawy włościańskiej tak pięknie, tak dodatnio, że... aż w pewnej chwili kwestja ta, niby owoc dojrzały upadła w ręce Milutina.

Naprzód się znieczula odurzającym kłamstwem sumienia i umysły, aby potym znienacka samą reformę Milutina i pracę Koła Polskiego w Dumie i komisję dumską wpleść w wątek dziejowej tradycji polskiej. Kościuszko... rok 1830, powstanie Styczniowe: tak, to było; to wszystko było w przeszłości... A teraz jest Koło Polskie w Dumie, jest pan Kiniorski, referujący sprawę serwitutów w komisji: co się w sercu Staszica ongi zaczęło, to dzisiaj tam, w Petersburgu się dokonało... ku powszechnemu zadowoleniu.

Bo wszystko dobre, co się dobrze kończy!

IV. Do jakiego stopnia endecka i konserwatywna część społeczeństwa wyjałowiona została przez organy swej prasy, świadczy postawa, jaką prasa ta zajęła wobec «Wskazań» p. Jankowskiego, drukowanych w *Prawdzie* w styczniu i lutym r. b. «Wskazania» te poruszają sprawę tak ważną, że milczeć o niej niepodobna.

Zabierają tedy głos przeróżni «polemiści», ale niekiedy z trudnością dają sobie radę z tematem. Mnożą się zarzuty nierzeczowe, mnożą się próby zbijania tez, których autor wcale nie stawiał. Oto jak mści się na społeczeństwie taktyka karmienia uwagi publicznej kwestjami fikcyjnymi, w rodzaju: «Szukajcie masonów».

Gdy ogółowi w oczy zajrzy sprawa istotnej doniosłości, nie znajduje on w sobie ani dość powagi ani głębokości, by się nią zająć tak, jak na to zasługuje.

Szanownym abonentom przypominamy o odnowienie prenumeraty na kwartał drugi.

W. RZYMOWSKI.

Granice i podstawy partji politycznych.

4.

Uwagi uprzednie podane zostały jedynie w charakterze ilustracji i przykładu, aby unaocznić, jak dalece powszechnie przyjęta klasyfikacja stronnictw politycznych nie odpowiada rzeczywistym i praktycznym dążnościom ludzi, którzy je składają.

Czy uwagi te nie nastręczają myśli o potrzebie jakiegoś podziału nowego na partje, podziału głębiej idącego w życie, opartego na realniejszych podstawach? Czy myśl ta w postaci utajonej nie kiełkuje już w szeregach społeczeństwa, dając znać o sobie szerokim rozpowszechnieniem typu „bezpartyjnych"? Czymże bowiem są bezpartyjni, jeśli nie objawem fermentu, zachodzącego w łonie samych partji? Być może w chwili obecnej dojrzewa plon dla dzieła, które wzorem Nietzschego możnaby scharakteryzować jako przewartościowanie wartości politycznych. W istocie, mamy stronnictwa, które według mapy leżeć mają zdaleka od siebie, a które niemal we wszystkich sprawach działają zgodnie, jakdyby stanowiły jedność; z drugiej strony w tej samej partji, znajdują się grupy ludzi, związanych wspólnym imieniem i nie mających nic ze sobą wspólnego. I w tej dziedzinie zatym, w dziedzinie politycznej, podobnie jak w tylu innych dziedzinach, zachodziłaby potrzeba dokonania nowych skojarzeń i nowych rozkojarzeń.

Że potrzeba taka nie jest znamieniem naszego wyłącznie terenu politycznego, świadczy fakt, że i na zachodzie podejmowane są współcześnie próby i usiłowania klasyfikacyjne, wynikające, jak się zdaje, z odczucia pokrewnej potrzeby.

Jedną z prób tego rodzaju daje współczesny myśliciel włoski, Papini, w studjum: „Pragmatyzm a partje polityczne".

Jego zdaniem, różnicą stale pomijaną, a przecież bardzo dla ustalenia się konfiguracji stronnictw doniosłą, jest przedewszystkim różnica w charakterze i temperamencie jednostek: różnica zachodząca między tymi, którzy idą powoli, a tymi, którzy się spieszą. Każda partja zawiera w swoim łonie ludzi ślamazarnych i ludzi niecierpliwych. Pierwsi, czy chodzi o reakcję, czy o reformę, czy też o rewolucję, zawsze chcieliby działać stopniowo, roztropnie, powoli, małymi dawkami, drudzy natomiast zasadzają powodzenie na szybkości, impecie, na furji natarcia.

Podział taki, jako oparty na próbierzu psychologicznym, z pozoru dziwny się wyda w życiu politycznym, operującym z natury rzeczy czynnikami społecznymi i ekonomicznymi. A jednak spójrzmy na ewolucje stronnictw socjalistycznych w rozmaitych krajach: niemal wszędzie rozłamały się one na dwie części wzdłuż tej właśnie różnicy psychologicznej: reformiści z jednej strony, rewolucjoniści z drugiej strony, stali się w socjaliźnie modyfikacją dwóch typów psychicznych, dwóch temperamentów, z których jeden odległość do ziemi obiecanej przesadzić radby jednym skokiem, drugi zaś wierzy, że drobnymi kroki idąc, dojść do niej można z równą pewnością.

Zdaje mi się że zlekceważenie w polityce tego próbierza przy układzie sił politycznych raz jeden okrutnie się na historji naszej zemściło: stało się, w pewnym stopniu, tragedją powstania Listopadowego. Ściślej mówiąc—tragedją zawodu, którego padli ofiarą twórcy powstania, oblekając swym bezgranicznym zaufaniem Lelewela. Błąd polegał na tym, że Lelewela, który był temperamentem wahającym się, typem uczonego, typem akademickim, postawiono na czele Klubu Patrjotycznego, postawiono z tej racji, że Lelewel jako profesor hołdował zasadom radykalnym i postępowym. Stanąwszy, jako prezes, na czele Klubu, tego kotła wulkanicznego, który miał pędzić parą swoją machinę powstańczą, Lelewel, przy całym radykaliźmie przekonań, nie mógł działać żywiej, niż mu na to rytm krwi bijącej w żyłach pozwalał: sądził on, że rewolucją, że wojnę da się przeprowadzić z flegmą i spokojem, jak wykład na katedrze. Ani on, ani ci, którzy go wynieśli do rządu, nie rozumieli, że na placu wojny nie według zasad i przekonań trzeba się szeregować, ale właśnie podług tempa krwi.

5.

Co się tyczy różnic teoretycznych, różnic oczywiście istotnych i właściwych, t. j. takich, któreby znać o sobie dawały w praktyce, to, z ogólnego stanowiska, rzuca się w oczy różnica tylko jedna: dzieli ona społeczeństwo na dwa odłamy zasadnicze. Jeden zgrupuje tych, którzy chcą, aby państwo wzięło na swe barki niemal wszystkie zadania publiczne. Drugi zgrupuje tych, którzy chcą, aby państwo nie brało na się zadań prawie żadnych. Do pierwszego obozu wejdą np. klerykali i socjaliści; do drugiego weszliby między innymi liberali i anarchiści.

Dwa te obozy z kolei rozpadłyby się na poddziały, w zależności od dwu kwestji, mogących sprowadzić bezpośrednie rezultaty praktyczne.

Obóz pierwszy, t. j. ci którzy chcą rozszczerzenia działalności państwa, dzielą się z powodu kwestji osób. Wszyscy pragnęliby spotęgować zakres wywierania się siły państwowej, ale niektórzy, zwani konserwatystami, chcieliby, aby państwo służyło przedewszystkim klasom zamożnym i posiadającym; inni, natomiast, zwani socjalistami, chcieliby państwo oddać w usługę zszeszeń klas ubogich i pracujących.

Obóz wtóry, t. j. ci, którzy dążą do zredukowania działalności państwa, dzielą się z powodu kwestji stopnia. Wszyscy w tym obozie się godzą, że jednostka powinna być wolna aż do najszerszych granic; wszelako jedni, zwani liberałami, chcą państwu powierzyć pełnienie w społeczeństwie funkcji elementarnych, jak np. organizacja obrony, wymiar sprawiedliwości etc.; drudzy zaś, zwani anarchistami, wierzą iż rząd państwowy całkiem bywa zbyteczny i, że ludzie obalić powinni wszelkie postaci władzy zbiorowej, skoro chcą być szczęśliwi.

6.

Ten ulotny i doraźny schemat klasyfikacji, z naszego stanowiska polskiego, paza wadami zbytniej ogólności, przedstawia tę jeszcze wadę, iż odwzorowany został na układzie stosunków, panujących w Europie Zachodniej, w społeczeństwach, rozporządzających własnym państwem i własnem rządem.

Nasz los jest inny. Rzeczywistość naszej doli jest w Europie, co do charakteru swego, jedyna. Nie ma analogji z niczym. Więc też nabytki myśli obcej, w dziedzinie społecznej, a tymbardziej politycznej, nie mogą mieć dla nas znaczenia wzorów dogmatycznych, lub choćby tylko wskazań bezpośrednich.

Ale zato odegrać powinny rolę bodźców, zwracającycli myśl ku wypracowaniu wskazań podobnych na podstawie sytuacji ojczystej, w związku z jej stanem wewnętrznym i warunkami zewnętrznymi.

Jak doniosłym głosem woła chwila obecna o myśl systematyzującą, o ideę kierowniczą, świadczy zbiorowa iluzja, której ulegli bezpartyjni: iluzja, że oni wszyscy stanowią osobną partję, która np. może mieć jednego przedstawiciela w jakiejś instytucji Ale bezpartyjni nie są żadną partją. I mylą się ci, którzy stan obecny uważają za początek ustalenia się trwałej równowagi; którzy bezpartyjność mają za rodzaj nirwany, do której skołatane społeczeństwo wraca, po zgiełku rozczarowań politycznych, niby na łono błogiej niewiedzy.

Bezpartyjność, jest przejściowym okresem przetasowywania się stronnictw istniejących oraz krystalizowania pokrewieństw, związków i przynależności duchowych w żywiołach dotąd nie tkniętych i świeżych. Nieprawdą jest, jakobyśmy żyli na gruzach: żyjemy w chwili obecnej raczej w chaosie, który poprzedza dzień stworzenia. W chaosie tym kłębią się siły pełne niepokoju i sprzeczności. Ale uszeregują się one na właściwych posterunkach, gdy z dostateczną mocą, do głębi, sięgną w społeczeństwo dwie idee, które dziś są udziałem nielicznych: idea radykalnego usamodzielnienia polityki narodowej przez oparcie jej na własnej sile, oraz idea wyzwolenia energji ludowej, nie przez urabianie ludu w tym lub owym kierunku, jak było dotychczas, ale przez tworzenie placówek dla rozwoju samorzutnej pracy, myśli i inicjatywy ludowej.

M. MALINOWSKI.

Okulary chłopskie.

«Ale przyszedł czas, kiedy trzeba postawić ludowi przed oczyma ideał, któryby mu pomagał podnosić się, zapalać się i utrzymywać się w stanie tworzenia lepszej przyszłości» ...

A. M.

W ostatnim n-rze *Humanisty polskiego* czytamy art. pod powyższym nagłówkiem. W artykule tym sz. Autor notuje, iż chłop polski przez wieki swego żywota zawsze i do dziś ma sobie zakładane okulary na oczy. Duchowieństwo i szlachta zawsze to czyniły i czynią.

Na wiele wywodów *Humanisty* pod adresem ludu albo tych warstw, które go sobie na powolne narzędzie urabiają, trzeba się godzić. W jednej sprawie wszakże mam zastrzeżenia i co do nich właśnie pragnę ... nie polemizować z szan. Autorem art. „Okulary chłopskie", ale zanotować pewne fakty, mogące rzucić światło na zarzuty, czynione już ludowi polskiemu.

W artykule rzeczonym czytamy tedy: „Dotąd ani jednej instytucji z większym zakresem działalności lud nasz sam nie stworzył, ani jednej sam nie podtrzymuje i gdyby inteligencja odmówiła mu swej pomocy, ruch ludowy z szerokiej i głębokiej rzeki zamieniłby się na maleński strumyczek albo możeby całkiem ustał. Poco więc to demagogiczne nakładanie na oczy chłopa szkieł powiększających sztucznie jego siły? Należy mu życzyć, a my, jako nieocenionego dobra, pragnęlibyśmy jego wzniesienia się na wysoki poziom rozwoju, ale nie należy go odurzać kadzidłami pochlebstwa. Niech on widzi własnemi oczami prawdziwą rzeczywistość a nie przez lornetkę agitacyjną teatralne przedstawienie!!!"

I to jest słuszne. *Świadomie* lud polski dotąd nie stworzył jeszcze ani jednej instytucji w większym zakresie, ani jednej *świadomie* sam nie podtrzymuje.

Ale czy jedynie on temu winien?

Po latach „wolnościowych", jeszcze w r. 1909 i 1910-tym nasz lud rozpłomieniał w sobie zapał do twórczej pracy społecznej, do działania na wielką skalę, do budowania wielkich rzeczy. Już się w nim wtedy myśl w tym kierunku objawiła. Musiał się jeno jeszcze sam w sobie, w swoim duchu skonsolidować, musiał się do nowego życia i działania usposobić, uświadomić, aby wydać czyn. Nie dziesiątek lat gdzieindziej do tego potrzeba było.

Tu i owdzie zresztą i takie czyny ludu przychodziły — na małę skalę, jednakżeby następnie rosły: z małego, z najbliższego muszą się one rozrastać, rozskrzydlać się, coraz szersze kręgi i sfery obejmować. Naturalne to.

I tak nam się to już pięknie zapowiadało. Sam lud widział się już wyrastającym na naród czynu twórczego. W *Siewbie*, w *Zaraniu* wiele tego dowodów znajdziemy.

Kooperatywy mleczarskie, wbrew nawet woli działaczów obszarniczych, samodzielnie zapoczątkował budzący się do czynów lud w Grójeckiem, pod Kockiem. Z nich to wyszło, co po potym, spostrzegłszy, że to jest coś, „opiekunowie" pod swoje opiekuńcze skrzydła z dowcipną premedytacją polityczną zagarnęli.

Już w r. 1912-tym sam ten lud, obudzony przez *swoje* pismo, złożył na swoje szkoły ludowe 1,700 rb. drobnymi składkami. Drobiazg to, ale i dużo, jak na pierwsze chwile budzenia się ludu do nowego, budującego życia...

W tymże roku 1912-ym na rzuconą przez Macieja Dudka z pod Kocka myśl zbudowania w Warszawie „Domu ludowego", instytucji szeroko pomyślanej, lud w ciągu pierwszych miesięcy składa w Banku współdzielczym z górą 2.000 rb.

Po wiekach niewoli i po czasach ostatnich (lat 50), w których bynajmniej nikt nie budził samodzielnie tworzącego ducha ludu z jego śpiączki wiekowej, trudno, żeby masy, a nawet jednostki wybitniejsze, odrazu stawały do czynów dużej miary. Ruch ludowy zaczął się u nas dopiero po roku 1906-ym.

„Do rzeczy nadzwyczajnych — mówił Mickiewicz — dochodził lud przy pomocy zdarzeń nadzwyczajnych.. Bywały to chwile jego wolności, bo doktorowie praw, uczeni, nie dopełniając swego obowiązku, zostawili go własnym jego siłom".

Ale gdy przyszły twórcze chwile wolności ludu, zaraz się znaleźli gorliwi usypiacze ludowi: „Poczekaj! Ostrożnie, nie zapalaj się".

Przedewszystkim tedy tym grupom ludu, które w ideowym zapale wzięły się do zakładania mleczarń, zastrzyknięto odrazu dużą dawkę wszystkiego, co zabija ideę. Trzebaż było widzieć wieś Sadkowice w r. 1910-ym i — potym. Panowie przyszli do nich ze słowy: „My możemy wam dać siłe pieniężną... Oto macie odrazu zasiłek, a możemy wam dać dużo, dużo, ale trzeba iść z nami." Umiejętne świecenie rublem zrobiło swoje: przyćmiło chłopom oczy; poszli wtedy za rublem, a stracili twórczą ideowość, i dzisiaj... mają prezesa dziedzica, mają jego pomoc ale w robocie twórczej stanęli na martwym punkcie. Nie zapalają się już, instytucji o większym zakresie ani dla swojej wsi, ani dla ogółu nie stawiają, nie! Przestali żyć twórczym zapałem. O to jedynie chodziło...

Kiedy świadomsi i bardziej ideowi z ludu zaczęli składać na „Dom ludowy" w Warszawie udziały 100, 50 i 25 rublowe, zaraz poszła po kraju cała burza przeciwdziałania: pisma „ludowe", jak *Zorza*, *Ognisko*, *Naród*, *Polak-Katolik* poznajdywali tyle wątpliwości, czy taki Dom potrzebny, czy nie lepiej założyć izbę noclegową...

Na zebraniach z włościanami tak się stawiało sprawę, że... „my to sami zrobimy; przekażmy to zaraz zarządowi..." aż w końcu w jednych uśpiono zapał do budowania instytucji na dużą miarę (bo ten zapał był), a w drugich potrzebę jej sprytnie zakwestjonowano.

Chodzi przedewszystkiem o zobojętnienie psychiki ludu do wielkich rzeczy, do idei daleko sięgających... Żeby lud patrzył tylko przez okulary nakładane mu przez „uprzywilejowanych", ci ostatni składają naprędce z górą 20 tysięcy rubli (!) i zakładają pismo, któreby demagogją nizkiego poziomu zabijało samodzielny „ruch ludowy", odwróciło odeń myśl, wolę, pragnienie zmiany stosunków i życia. I dalej idzie gorąca agitacja przez specjalnych ludzi prowadzona lnb z amatorstwa przez tych właśnie ludzi, o których Mickiewicz mówił, że „ich giest jest giestem wstrzymującym, przeciwnym rzutowi sokolemu".

Ale przeczytajmy oto tylko jeden list, jako dokument XX-go wieku.

Sz. Redakcjo Zarania.

Jestem zmuszony w swoim sumieniu opowiedzieć o zdarzeniu, jakie miało miejsce d. 23 sierpnia t. r. we wsi Kopcach w parafji Huszlew (w pow. radzyńskim.)

W roku obecnym, 1913, deszcz prawie nie ustający przeszkadzał w zbiorze plonów. Każdy rolnik obawiał się, że praca jego marnie przepadnie, bo zgnije wszystko na polu. Niektórzy to sobie przypomnieli, żeby złożyć na Mszę św. błagalną, aby Pan Bóg opatrzył pogodą. Na to prawie każdy się zgodził, więc złożyli 8 rb. pół kopy jaj i dwa koguty. Zanieśli to wszystko ks. proboszczowi w Huszlewie, Ignacemu Ciszewskiemu, i prosili, aby przyjechał do wsi Kopce i w kaplicy Mszę św. odprawił, co też zrobił.

Już to po mszy św. proboszcz wyszedł z kaplicy zaczęli się skarżyć, że chłopaki chodzili po gruszki, to inne sprawy przedstawiali, ale mało na to zwracał uwagi. Najlepiej i nadewszystko jemu było w głowie, kto tu czyta *Zaranie*. P. organista powiedział z cicha i na mnie skinął, że ja czytam. A ja na ten czas byłem w kaplicy; klęcząc modliłem się. Więc wchodzi ksiądz do kaplicy, każe wszystkim wychodzić, a mnie odedrzwi sobą zasłania i mówi: „mam do ciebie interes." Zamknął drzwi, stanął odedrzwi i mówi „Ty czytasz *Zaranie*?" A ja w odpowiedzi mówię śmiało „Czytam." Ks. proboszcz zaraz na mnie z góry: A ty psubracie, to ty będziesz czytał *Zaranie*? Porzuć! — A ja odpowiadam, że *Zaranie* nie sprzeciwia się wierze Rzym.-Katolickiej. Lecz zaraz przedstawiłem się, że jestem z uniatów katolik, wiem jak uszanować religję katolicką, mnie bili w gołą skórę za to, że chciałem być katolikiem. Dopiero, zamiast nauczać i upominać mnie w dobry łagodny sposób, ksiądz zaczyna wydziwiać na mnie od rozmaitych szkaradnych słów, a pięścią wali z całej siły mnie w kark tak ciężko, że już na swoich starych gnatach posłyszałem ból, a za każdym słowem: ty psu

bracie. porzucisz czytać to *Zaranie*? Ale ja na to nie odezwałem się ni słowa, byłem głuchy i niemy.

Wtem ksiądz rzucił się do mnie i pcha 'do ołtarza kaplicy i mówi. „Przysięgnij, że nie będziesz czytał *Zaranie!* i na to byłem głuchy.

W tej chwili ks. rzuca się z całą złością na mnie i szturbakiem w piersi tłucze i za każdym słowem „Ty psubracie, ty zaraza, ty morowe powietrz porzucisz czytać to *Zaranie?* dopytywał się... bo ja do ciebie przyjadę ze strażnikami, ja cię każę wygnać ze wsi, ciebie nie będę spowiadał, ty psu bracie, ciebie zabić jak psa. W końcu mówi, żeby do niego przyjść w poniedziałek, a ja sobie myślę: ho, ho, u mnie na polu zboże gnije, a ja darmo będę czas tracił. Prawdę mówię: gdyby ten ks. był w czasie tym kiedy Chrystusa Pana mordowali, to on pierwszy go byłby zamordował.

Szczerą prawdę napisałem i stwierdzam podpisem

Eljasz Semeniuk.

List powyższy red. *Zarania* posłała biskupowi do Lublina z prośbą o sprawiedliwość dla pokrzywdzonego. Odpowiedzi na to nie było.

Odmawianie ślubów, chrztu, różnych innych posług — wszystko to szeroko jest praktykowane dla stłumienia „ruchu ludowego". W Sterdyni pogromy są urządzane, w Klwowie (pow. opoczyński) pogromy z kamienowaniem, zapoczątkowane przez ks. Szczepkowskiego.

Przecież to wszystko musi swoje robić; lud powstrzymywać od tego, do czego już się był brał z zapałem i szczerą ideowością.

Że lud „dotąd ani jednej instytucji w większym zakresem nie stworzył, ani jednej sam nie podtrzymuje", to naprawdę musimy to przypisać i tym, których Mickiewicz nazywał ludźmi starej epoki, ludźmi warstw uwiędłych, gniotących wszystko, co wznioślejsze, wyższe"...

A czy lud nie będzie miał słusznej pretensji, że *w walce* o samodzielność jego moralną i twórczą w potrzebie nie było, ktoby go skutecznie poparł, jak to miał w swoim czasie lud finski, duński, czeski... od swoich — w Finlandji nauczycieli ludowych, w Danji od nauczycieli szkół średnich i wyższych, a w Czechach od mieszczan? Czy lud polski nie będzie miał słusznego żalu o to?

JAN LEMAŃSKI.

LEGENDA.

Nowi poeci rodzą się jak grzyby...
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby,
A kiedy straszną opisują burzę,
To chmura piorun zostawia w cenzurze.
J. Słowacki.
(Beniowski, cz. III, okt. V)

Niegdyś marzyła dusza ma chłopięca,
Że łby potworom wszystkim poukręca,
Że ich jaskinie zburzy i pieczary,
Że ich djabelskie nie obronią czary,
Że... że... ach, czemuż dziś to wyznać muszę,
Łbabym nie urwał nawet i złej musze.

Dawniej w kolebce zdusiłbym centaury,
Świat bym czynami Herkulesa usiał,
Ludzkość by mną się, jak nim, zachwycała...
Gdzieżeś dziś, marzeń mych potęgo cała?
Dziś, gdy mię trwoży grom burzliwej aury,
Dziś, gdy parasol mam, gdym... podtatusiał.

Ongi do wielkich grałem dzieł pobudkę,
Dziś dbam o swoją tylko szczęścia budkę,
Czuwam, aby mi grom jej nie zdruzgotał...
Dziś bym na żadne hydry się nie miotał,
Przy poobiedniej filiżance mokki
Na żadne bym się dziś nie porwał smoki.

Dziś, kiedy już mię dobrobyt omotał,
Na żadne bym się potwory nie miotał,
Dziś bym się gniewem nie pienił szalonym
Przeciwko żadnym normom ustalonym,
Przeciwko hydrom dziś by moje pięście
Nie podnosiły się, gdy wiem — co szczęście.

W kraju swobodnym, tam gdzieś nad Sekwaną,
Z smokiem masz walkę cywilizowaną,
Lecz tu nad brzegiem szarej naszej Wisły,
Lepiej by gromy w cenzurze zawisły,
Niż gdyby zagrzmieć i... gdzieś na Pawiaku
Wdychać więzienną woń amoniaku.

Ach, gdy już człowiek przywykł żyć w komforcie,
Nie rad się znaleźć w Cytadeli forcie,
Nie rad tam zaznać brudu i wilgoci,
Nie rad tam obiad jadać bez łakoci,
Ni w ciężkich robót zakutym być kierat,
Ni być zesłanym do Irkucka nie rad.

Na hydrę niech się sobie ten indyczy,
Kto szczęścia jeszcze nie zaznał słodyczy,
Kto jeszcze nie wie, jak ono upojne,
Niech ze smokami rozpoczyna wojnę,
Niech się naraża na skręcenie karku,
Niechaj w więziennym gnije zakamarku!

Ale ten, kogo szczęście już musnęło
Jakiem anielskiem biało-lila skrzydłem;
Kogo już wiążą silniej niż fortece —
Dom, żona, dzieci... w tym wszystko usnęło,
Co wprzód do boju gnało go z straszydłem...
Ten już swe gromy zatrzymuje w tece.

Bo czyż to wielką tak bardzo jest winą,
Gdy cię ramiona niewieście owiną,
Gdy cię rozkoszy *ta* hydra opasze,
Dla niej pójść na krzyż jak... jak Barabasze?
Dla niej utonąć w upojenia fali?
Dla niej Heraklem być u nóg Omfalji?...

Niegdyś marzyła dusza ma chłopięca,
Że wszystkim hydrom głowy poukręca,
Że wszystkie z świata powygubia smoki...
A dziś przy czarnej filiżance mokki,
Pachnącej i gorącej należycie,
Już cenzuralniej spoglądam na życie.

M. DĄBROWSKA.

Dramat mieszkaniowy

Z CYKLU: «PRZEBUDOWA SIEDZIB»

I.

Pod prozaicznem wyrażeniem „sprawa mieszkaniowa“ kryje się dramat, który uprzytomniłam sobie dopiero tu w Anglji.

Jedzie się naprzykład koleją z Greenwich do dworca Charring Cross w centralnym Londynie.

Ma się oczy napojone przedwiosennym złocistym urokiem parku w Greenwich, i nadobnym uśmiechem „Blackheath'u“; kolej tymczasem nie pyta — jeno bieży nad dokową dzielnicą Londynu, tyle już razy opisaną w księgach mieszkaniowej statystyki, tyle już razy w radach wszelakich obradzoną.

Nasyp wydźwignął się z mrowiska domów. Z obu stron leżą jak na dłoni Londyńskie „slums“ niby ruchawe dno krateru, pykające dymami szczerbatych kominów w burą mgłę, w powietrze które zdaje się pruszyć błotem.

Labirynty uliczek ujęte w nieprzerwane płaskie mury domów wyglądają jak sieć odkopanych podziemnych korytarzyków. Dzieci tam czynią wrażenie rozpełzłego robactwa.

Widok ten struje oczy na długo, i wznieci pożar sumienia. Ów zaś przemieni się w czujność badawczą, gdy wejrzymy w księgi statystyk.

Gdy się dowiemy, że wszędzie jest tak samo. Że nie o wiele lepiej lub nie o wiele gorzej. Że jako specjalność Anglji można chyba jedynie zanotować większą dramatu mieszkaniowego monotonję, lub tę naprzykład „ekscentryczność“ Dublinu, gdzie olbrzymie z 18-go wieku sale pałaców opuszczonych, wynajmowane są przez spekulantów robotnikom. Tradycję sal rycerskich obraża taki oto widok: 20 osób „kątem“ siedzi w jednej sali — bez sprzętów. Śpi to na ziemi...

Od W. Thompsona, jednego z żarliwych badaczy sprawy mieszkaniowej dowiadujemy się ciekawych rzeczy, które Anglji tyczą, ale które są złem innych krajów w takiej samej mierze.

Powiada on, że współczesne zaułki robotnicze i całe dzielnice miast przyrównać można jeno do średniowiecznych Ghetto żydowskich.

W Londynie, pierwszem mieście świata, *dwie-trzecie* ludności mieszka bądź w przeludnionych dzielnicach, bądź w zaciasnych mieszkaniach, 396.000 ludzi śpi, pracuje, rodzi się, je, i umiera w jednoizbowych klitkach.

Glasgow drugie miasto w Anglji, ma jedną piątą ludności w jednoizbowych mieszkaniach. Edynburg „Ateny nowożytne“ na ogólną liczbę mieszkań ma prawie połowę jedno- i dwuizbowych.

Skutki złych stosunków mieszkaniowych są tak przerażająco widoczne iż doprawdy dziwić się należy jak ludzie znoszą je cierpliwie, a raczej wolą paljatywami zasłaniać oczy, niż zło usuwać.

Śmiertelność, zwłaszcza dziecinna, w miastach o złym stanie dzielnic ubogich jest zastraszająco wyższa, niż w tych, gdzie stosunki sanitarne są lepsze. Więcej jeszcze mówiącym jest fakt, że w jednem i tem samem mieście śmiertelnosć zmienia się zależnie od tego, czy jesteśmy w dzielnicy will i rezydencji czy też w dzielnicy robotniczych zaułków. Tak np. w centralnym Londynie stopa śmiertelności jest 26 do 30 na tysiąc, a w jego wschodnich zaułkach wynosi ona 40 do 50 na tysiąc.

Dalej — Durham, najbardziej przeludnione miasto Anglji, zajmuje pierwsze miejsce na liście statystyk pijaństwa. Birmingham w najniezdrowszych i najbardziej przeludnionych dzielnicach wykazuje śmiertelność równą śmiertelności armji angielskiej w południowej Afryce — z wypadkami śmierci w bitwie i od przy padku włącznie.

Śmierć przedwczesna, rozwój pijaństwa, anemja, choroby nieuleczalne, obłąkanie i śmiertelność dzieci są proporcjonalne *i w liczbie i w intensywności* do rozmiarów *przeludnienia, drożyzny mieszkaniowej* i *braku hygieny, domów i ulic.*

Thompson powiada, że współczesne *zaułki robotnicze są gorsze i bardziej zabójcze niż pola bitew*, i niema w tych słowach przesady. Na wsi jest tylko o jedno zło mniej. Niema przeludnienia w przestrzeni. Poza tem ta sama niedola.

II.

Te angielskie księgi niełaskawych statystyk są dla mnie pryzmą, przez którą patrzę na pokrewną dziedzinę życia polskiego. Przez tę pryzmę zobaczyłam polską bezdomność po raz pierwszy z poczuciem odpowiedzialności za nią nieprzebłaganej.

W pierwszym okresie moich nad angielską sprawą mieszkaniową studjów, zadziwiał mnie fakt, jak tu każda dziedzina życia jest *uświadomiona*. Przez to możliwe jest odwołanie się do publicznej twórczej odpowiedzialności.

Nie inny jest też cel niniejszego pisania, jeno odwołanie się do odpowiedzialnych sumień polskiej publiczności.

Na początku swej książki o sprawie mieszkaniowej Thompson pisał: „Przed pięćdziesię-

ciu laty palącą była kwestja mieszkań dla biedaków, dziś przemieniła się ona w sprawę mieszkań dla klasy robotniczej a grozi urośnięciem na sprawę siedzib dla całego narodu".

W Anglji to grozi — u nas w całej krwawiznie niewyleczonej rany istnieje sprawa siedzib i — siedziby dla całego narodu.

Gdy Anglicy nawołują siebie do „obudzenia sumień" — my winniśmy się nawoływać tym mocniej i skuteczniej. Odłogiem leży i pole badań sprawy mieszkaniowej i pole sposobów jej rozwiązania.

W Anglji znajdziemy rozliczne tego rozwiązania wzory i tam należy je studjować.

Tam wzory te znalazły nietylko entuzjazm wielbicieli, ale i zdolności do wprowadzenia ich w życie na bardzo szeroką skalę, dzięki czemu opłakany stan sprawy mieszkaniowej zmienia się z każdym dniem na lepsze.

Pierwszy strumień tej pracy idzie niejako od góry, po przez prawa i municypalności. Począwszy od praw mieszkaniowych Lorda Schaftesbury (w połowie XIX wieku) ciągnie się szereg praw budowlanych i mieszkaniowych, z wszelkiego rodzaju poprawkami, aż do ustanowionego w 1909 roku prawa Mr Burns'a, t. zw. „Prawa o planowaniu Miast" (Town Planning Act).

Wykonawczyniami tych praw są rady hrabstw i miast, rady gminne i t. d., oraz szereg specjalnych urzędników.

Zakres działania jest dość obszerny — a nam musi się wydawać olbrzymi.

Władze miejscowe mają prawo przez swoich „urzędników zdrowia" określać stopień zdrowotności danego domu, czy całej nawet dzielnicy.

Jeśli zło nie jest zasadnicze, właściciele domów otrzymują wskazówki, co należy usunąć lub naprawić. Jeśli w umówionym czasie zarządzenia te nie są wypełnione dobrowolnie, właściciele domów muszą wykonać je pod przymusem. Tyczy się to przeważnie urządzeń odchodowych, brudu w sieniach, podwórzach, kanalizacji, wilgoci i t. d.

Jeśli zło jest radykalniejsze, jeśli do zupełnego braku wszelkiej hygieny w szczegółach, dołącza się większa nad przepisaną normę ciasnota izb, nagromadzenie domów i nagromadzenie ludzi w domach, dom czy dzielnica określana jest w raporcie urzędnika zdrowia, jako: *unfit for human habitation* (Nieodpowiednie na ludzkie mieszkanie).

Wówczas zaczyna działać „prawo o domach robotniczych" z r. 1890. Prawo to przewiduje *przymuszenie* właścicieli domów do zupełnego ich na własny koszt przebudowania, lub też zburzenie domów przez władze miejscowe i na to miejsce pobudowanie nowych, bądź przez też same władze, bądź przez instytucje i towarzystwa w porozumieniu z nimi działające — co już jednak wchodzi w zakres kompetencji innego prawa. W ten sposób cały szereg dzielnic robotniczych zarówno w Londynie, jak w innych miastach Anglji, został bądź przebudowany, bądź całkowicie na nowo wedle przepisów hygienicznych pobudowany.

Władze miejscowe mają prawo budować nie tylko na miejscach zburzonych przez się zaułków, ale również gdziekolwiek to uznają za stosowne i pożyteczne dla ogółu.

III.

Istnieje pięć typów mieszkań, budowanych przez miejscowe władze samorządne.

W pierwszym rzędzie należy postawić ich rodzaj najniższy — t. zw. „common lodging houses."

Są to wielkie kamienice o izbach systemu „przedziałów kolejowych" — Wzdłuż korytarza ciągnie się z obu stron szereg takich przedziałów — przepierzonych lśniącem politurowanem drzewem. W każdym jest przepisana przez hygienistę liczba sześciennych stóp powietrza, duże okno, łóżko żelazne, krzesło — lustro, grzebień, wieszadło. W gmachu znajduje się kilka łazienek, wspólna kuchnia, sala jadalna. Naogół wszystko jest czyste, porządne, ale nudne i brzydkie. Gdy sobie jednak uprzytomnimy, że te „domy wspólne" budowane sa dla „lumpenproletarjatu," dla robotników niestałych i niefachowych, którzy zaludniają zwykle nocą ławki uliczne, mosty, domy noclegowe, areszty policyjne i ohydne „kąty" w robotniczych mieszkaniach, ocenimy je jako paljatyw wprawdzie, ale o wiele rozsądniejszy, niż budowanie szpitali dla warjatów i dobroczynnych przytulisk. Robotnik-włóczęga znajduje w takim domu za parę pensów nocleg, kąpiel, śniadanie. Do tego samego typu należy zbudowany w Glasgow „Miejski dom rodzinny" dla wdowców z dziećmi. Gdy ojcowie są na robocie, dzieci ich znajdują tam troskliwą opiekę.

Drugim typem domów municypalnych są duże domy dochodowe, podobne do naszych — ale urządzone hygienicznie estetycznie i tanio.

Ten typ domów z trudem jednak wywalcza sobie w Anglji obywatelstwo.

Trzeci typ to mniejsze domy dzierżawione częściami. Czwarty, to małe angielskie domki o dwóch mieszkaniach, lecz wspólnem podwórzu i ogrodzie. Piąty typ, to owe p. excellence angielskie „homes", — domki o dwóch lub jednem mieszkaniu, a przy każdem mieszkaniu osobny ogródek z obu stron i podwórze.

Nie miejsce tu na statystyki, tyczące rezultatów tego działania — bardziej chodzi o typ,

W każdym razie dla jasności obrazu zaznaczymy, że rada hrabstwa Londynu wedle obliczeń z roku 1912-go dostarczyła 54,130 osobom 9,272 mieszkań, zawierających 26,291 pokoi oraz 1,856 przedziałów w „domach wspólnych." Ogólny czynsz tych mieszkań wynosi 213,589 funtów 16 szylingów, 2 pensy. Mieszkańcy — sfera robotnicza od lumpenproletarjatu począwszy, na rzemieślnikach i proletarjacie „inteligenckim" skończywszy.

Cały ten sposób budowania dla nas może mieć znaczenie do czasu tylko idealne, jako przykład przyszłego dopiero działania, gdy naszym miastom i wsiom inne zaświtają jutrznie. Ale i jako taki przyszły wzór zasługuje on na rozpatrzenie krytyczne, jakkolwiek pełne sympatji.

IV.

Jest to bezwątpienia droga do sanacji stosunków istniejącego zła miejscowego, lepsza niż każda inna. Ale jak wspomniałam wyżej, czasem przybiera ona charakter tylko paljatywu — i to paljatywu dość kosztownego, zwłaszcza wobec istniejących w Anglji sposobów władania ziemią i wobec głodu mieszkaniowego. Część ludności usunięta z niezdrowego zaułka niema się wprost gdzie podziać, wpada w jeszcze gorsze warunki mieszkaniowe — i już do nowych siedzib nie wraca. —

To znów koszt zburzenia zaułku i wybudowania nowej dzielnicy jest olbrzymi, a przesiedlić udaje się tylko drobną część ludności. Co gorsza spekulanci budowlani zdołali przeprowadzić spekulacje na tych nawet społecznym duchem przenikniętych prawach. Czynili to budując umyślnie niehygieniczne zaułki i biorąc potem ogromne wynagrodzenie od władz miejscowych za ich zburzenie. —

Wreszcie lordowie-właściciele ziemi wywierali częstokroć swój wpływ na władze miejscowe, utrudniając ich budowlaną działalność, w mniemaniu, że niehygieniczne zaułki większą przynoszą intratę. To samo czynili przedsiębiorcy budowlani.

Są to wszystko tarcia między z góry stanowionemi prawami a życiem — tarcia, które w tak pełnym dobrej woli narodzie jak Anglicy bez wątpienia zostaną usunięte. Działalność budowlana miejska, *w obrębie śródmieści*, pozostanie zapewne na długo najlepszym sposobem leczenia zła.

V.

Inaczej, kiedy przejdziemy do sprawy *rozrostu* miast — do przedmieść i terenów wiejskich, do zdobywania nowego świata w dziedzinie mieszkaniowej. Tam istniejące obecnie regulaminy krępują wspaniały rozmach młodej inicjatywy samego społeczeństwa, — samych *mieszkańców*, a więc tych, którzy są w pierwszym rzędzie do reformowania sprawy mieszkaniowej powołani; dziedzina tworzenia nowych miast i przedmieść należy się całkowicie samoradnemu wysiłkowi społecznemu, który dopiero z siebie nowe prawa wyłoni. Przepisana istniejącemi regulaminami szerokość dróg, wysokość pokoi i liczba domów na akr, nie może być obowiązująca dla współdzielczych towarzystw budowlanych, których rozmiary sięgają w o wiele wyższą dziedzinę piękna i wygody społecznej.

Prawem winna tu być *swoboda działania* dla tych wszystkich towarzystw, które istotnie dobro społeczne mają na celu. Takie prawo Anglicy osiągnęli w swem „Town Plannig Act" z 1909 który we wszystkie dawniejsze przepisy o budowaniu miast tchnął większą ilość swobody i poczucia piękna — tak że inicjatywa współdzielcza zyskała znacznie większą swobodę ruchów i twórczej fantazji.

O tych wysiłkach samopomocy społecznej pisałam już w poprzednim artykule że się w nich na zasadach kooperacji zorganizowana zbiorowość staje *sama przedsiębiorcą budowlanym nowych przedmieść i miast*, tak jak w starych śródmieściach przedsiębiorcą budowlanym staje się powoli miejski samorząd.

Biorąc sprawę finansowo, działalność stowarzyszeń jest *w angielskich stosunkach* radykalniejszą, gdyż towarzystwa stają się nietylko przedsiębiorcami budowlanymi, ale właścicielami gruntu, unicestwiają tedy rentę gruntową, albo raczej przelewają ją do kieszeni ogółu *który* wzrost owej renty powoduje.

Municypalność zaś operuje na gruntach prywatnych, i tak będzie, dopóki nie wejdą w życie projekty Lloyda George'a, które przewidują rzecz dotąd w angielskich stosunkach niepojętą, mianowicie wywłaszczenie gruntów prywatnych na rzecz miasta, mające na celu nie co innego, jeno właśnie *dobro mieszkaniowego ogółu.*

Drzazgi.

— «*Własność* to — kradzież!» — rzekł
Proudhon surowo:
Odtąd się pan Kręcicki boi myśleć *własną*
głową.

***

W. GACKI.

O byt instytucji kulturalnych...

Zdawałoby się, że w społeczeństwie, tak dalece pozbawionym samodzielności, jak nasze, w społeczeństwie, skazanym na całym obszarze zagadnień politycznych i społecznych na masową bezczynność,—te pola, które jedynie są dla nas dostępne, pracy oświatowej i kulturalnej, winny być ludne, ożywione wzmożonemi wysiłkami ogółu.

Tymczasem zaś jest inaczej.

Bezczynność staje się jakoby stanem normalnym — bezczynność, gnuśność, nuda.

Wskutek chronicznej bezczynności wytwarza się w przeciętnym t. zw. działaczu społecznym obłudna psychika, obłudny stosunek do życia: wysiłek parokrotnie chybiony, nieurzeczywistniony wskutek przeszkód zewnętrznych poczytywany już jest, jako całkowite spełnienie obowiązku, jako czyn, roszczący sobie prawo do zasług. Niezrealizowane projekty zajmują też najpoważniejsze miejsce w sprawozdaniach z „działalności" instytucji kulturalnych. Czyż to jedno słowo: nie pozwolono — nie bywa też słodką pociechą, zwalniając nas od trudów, już nieuniknionych — wtedy, gdyby pozwolono? I jest jednocześnie tryumfem naszych zabiegów — dowodem, że przecież my chcemy, próbujemy, staramy się! A jednak...

Na temat próżności naszych wysiłków snując łzawe elegje, utwierdzamy się w poczuciu swych zasług, bałamucimy opinję obietnicami, „perspektywami". Nie otwieramy terenu praktyki społecznej dla młodszych, by z nich wychować przyszłych swych zastępców, pomimo że to jest kardynalnym prawem wszelkiej planowej i systematycznej pracy, nie bacząc, że w naszych nienormalnych warunkach tym większa zachodzi tego potrzeba, że przedwczesne znużenie, wyczerpanie jest nieuniknionym udziałem nielicznych naszych zdolnych i sumiennych pracowników społecznych; natomiast radzi tkwimy w towarzystwach wzajemnej adoracji, gdzie odurzamy się wzajemnie kadzidłami swych rzekomych zasług.

***

Na taki stan rzeczy składa się szereg nieporozumień, pokrywających sobą istotne, gruntowne niezrozumienie tego, co powinno się narzucić siłą faktu, rzeczywistości.

Praca społeczna, t. zw. społecznikostwo jest uważane w najszerszych sferach—tej pseudointeligentnej kołtunerji — za pewnego rodzaju dziwactwo, czasami za sport niedrogi; śród wyborowej naszej inteligencji nie szczędzą uznania, pochwał, honorowych tytułów tej *virtuti civili*, uważając ją za dowód przynależności do wyższej hjerarchji społecznej, arystokracji ducha.

Pojęcie pracy społecznej kojarzy się w umyśle przeciętnego inteligenta z pojęciem poświęcenia, bezinteresowności, mówiąc prościej, t. zw. „darmochy". Prawiąc o potrzebie bezinteresownej pracy społecznej, wskazuje się „darmochę", jako sprawdzian jej wartości: wymagają jej od innych — posiadacze rent, ludzie, zajmujący dochodowe stanowiska, dla których udział w tego rodzaju przedsięwzięciach bądź co bądź jest okruchem, rzuconym z pańskiego stołu. Ogół, nie wyrobiony społecznie, a wskutek tego niechętny do płacenia za pracę umysłową, nie rozumiejący należycie wartości i warunków tej pracy, powtarza naiwnie za „uspołecznioną elitą" te niedorzeczne komunały, których wpływ powoduje fałszywy stosunek ogółu do placówek kulturalno-oświatowych. Tymczasem powinno się wbijać w umysły wręcz przeciwne przekonanie, osiągnięte z doświadczenia. Praca społeczna wtedy jedynie jest dobra, gdy jest wyrazem, realizacją treści człowieka — tego, czym osobnik żyje. Musi więc pochłaniać życie, czas człowieka; jako takiej należy się wynagrodzenie, zapłata; jedynie od takiej ma się prawo wymagać, aby była dobra i tylko, jako taka, może stać na poziomie wartości społecznej.

Jest pewna kategorja chorych, dotkniętych przewlekłymi dolegliwościami; wiecznie się łudzą co do stanu swego zdrowia, a myśl ich cofa się lękliwie przed propozycją zastosowania radykalnego środka leczniczego. Ukrywają też istotny stan wobec otoczenia. Zżyli się z swoją chorobą. Stała się ona nieodłączną troską, ale i treścią życia.

Leczą się też zawzięcie, pieczołowicie, zmieniając lekarzy, recepty, stosując wszelkie paljatywy, swojskie i te najbardziej reklamowane; nie widząc polepszenia, czekają cudu.

Inteligencja nasza jest podobna do owej kategorji chorych. Toczy ją bezczynność, nuda, jałowość życia. Pod wpływem przebłysków świadomości podejmując pracę społeczną, zadowala się czymkolwiek, frazesem, odruchem, półśrodkami — paljatywami, jakimi są nasze instytucje kulturalne w stanie swym obecnym. Uprawiając partactwo, coraz beznadziejniej grzęźnie w megalomaniackim przeświadczeniu o swych zasługach. Poddana bolesnej chłoście, widokiem tej „nędzy polskiej" w literaturze, olśniona „pięknością stylu, piękna i głębią psychologji", otrząsa się: „Eh, to przesada, to okrucieństwo względem czytelnika — przecież nie jest jeszcze tak źle!..."

Nie stać jej na szerokie, krytyczne ogarnięcie myślą całokształtu stanu rzeczy. Dotknięta jest krótkowidztwem. Poszczególne objawy dodatnie, a nawet obojętne dla dobra ogólnego rozpyla w mgławicowe horoskopy na przyszłość; spełnienie obowiązku podnosi na piedestał bohaterstwa; poszczególne ujemne objawy życia przeobraża w przepojonej chorobliwym lękiem wyobraźni — w wizje apokoliptyczne, grożące zagubą wszelkim ideałom życia, kultury!

Brak tego szerokiego poglądu na całokształt spraw krajowych wytwarza w świadomości jednostkowej i zbiorowej to istotne i gruntowne niezrozumienie: charakteru i zadań pracy kulturalnej u nas. Uważamy wysiłki w tym kierunku za wyraz dobrej woli, za zdolność poświęcania się, za drogę do zasług i honorowych tytułów; pracę kulturalną — za rzecz dobrą pożyteczną, — za filantropję, podczas gdy dokładniejsza znajomość rzeczywistości określiłaby w nas zgoła inny do niej stosunek. Należy

zrozumieć, że, jako siła wytwórcza narodowa, stajemy się coraz bardziej odbiegającym od typu narodów nowożytnych — anochronizmem; nie mamy już na kiedy odkładać, gdyż wszelka podjęta praca kulturalna jest już opóżniona. Sprawa powinna być postawiona stanowczo i dobitnie: stosunek do pracy dla podniesienia poziomu naszego narodu — w szkole, w literaturze, w prasie w instytucjach oświatowo-kulturalnych — jest kwestją: być albo nie być. To nie może należeć do sfery dobrych uczynków w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, to nie żadna filantropja!

Jest koniecznością, o ile chcemy istnieć, praca usilna, niezmordowana w tym kierunku. Jest jedynym prawowitym głosem naszej chęci do życia. Tu już niema wyboru — to jest konieczność dziejowa.

To długa i mozolna droga obowiązku, naturalnego obowiązku obywatelskiego.

Tego też jedynie racjonalnego stosunku do istytucji kulturalnych wymaga od nas rzeczywistość: zrozumienia dziejowej *konieczności* wzmożenia pracy społecznej i głębokiego poczucia obowiązku.

ST. BACZYNSKI.

„Pamiętnik" — — Brzozowskiego.

Forma pamiętnika, nadużywana w bezcelowej krzątaninie belletrystycznej, jako najszlachetniejszy wyraz spowiedzi przysługiwać winna jedynie indywidualności wyjątkowej. Notowanie przemijającej treści przeżyć codziennych o tyle posiada wartość, o ile *sposób* przeżywania nie ściele się na jednej płaszczyźnie z dookolnym swędem pretensjonalności. Bogactwo niedocenianych momentów codzienności, z których rodzi się odrębna budowa duszy człowieka-twórcy i poczucie samotności, krew przeżyć stwierdzająca teoretyczne rozważania i filozofję swoistą, pozbawioną nalotu pretensji zewnętrznych, są pomijane z bezdusznym kabotynizmem autoszpiegomanji do czwartego pokładu w głąb', która posiada jak najmniej cech wspólnych z rzeczoną analizą.

Zbliżanie się do bezpośredniości poznawczej, stanowiące o wartościach dzisiejszych haseł filozoficznych, znalazłoby praktyczne zastosowanie w intellektualistycznie pojętym pamiętniku, któryby stwierdzał ciągły związek rzeczywistości bezpośrednio danej z rzeczywistością zagadnień teoretycznych i uczuciowych jednostki. Najidealniejszym zwierciadłem filozofji życiowej byłby pamiętnik całkowitego rozwoju indywiduum wyłuskany z banalności złudzeń myślowych i przewrotnej megalomanji. Dzieło takie dałoby przegląd kultury *ontogenetycznej*, budowałoby stopnie psychologicznych kryterjów doświadczalnych, odarte z obsłonek metafizyki stosowanej. Byłaby to nie filozofja praktyczna, pragmatyzm odrodzony, lecz *filozofja w praktyce.*

Stosunek autora do takiego pamiętnika ulegałby wahaniom przeciwważnych pierwiastków pod względem formalnym i założeniowym, których pogodzenie w duszy jednego człowieka jest możliwe, w stosunku zaś do podjętej pracy niezawsze dogodne. Jeden z tych elementów stanowczo przeważyć musi i od tego zależy całość wraz ze swym znaczeniem. Mam na myśli założenie celowości, wyłaniające się rzadko w pamiętniku samym, częściej ukryte poza nim w świadomości autora, założenie które sprowadza tego ostatniego najczęściej na bezdroża obłudy w stosunku do czytelnika.

Autor udaje, że pisze dla siebie, mając równocześnie świadomość swego kłamstwa. Tu też wyłamuje się dwojakość celowości w pisaniu pamiętnika, który może być pisany albo dla innych, albo dla siebie. W pierwszym wypadku autor musi z konieczności się poddać chwilowym nastrojom kłamstwa doraźnego, które stać się może chronicznem w znaczeniu goethowskiego „Wahrheit und Dichtung", w drugim powstaje przedewszystkim zagadnienie potrzeby, a następnie możliwości. (Czy pamiętnik pisany dla siebie jest wogóle komukolwiek potrzebny i możliwy w realizacji?)

Pierwszy rodzaj z góry przewiduje krytyków i czytających, dlatego też wartość jego zredukować możnaby do wartości przedmiotowej analizy spowiedzi ze stanowiska psychologicznego i do przelotnego znaczenia kulturalnego, drugi natomiast — o ile jest możliwy — musiałby wyzbyć się wszelkich uroszczeń w sądach i wyrugować z zakresu swego kłamstwo, by dać jednostce przegląd jej własnego rozwoju i niepodrabianą prawdę stosunku do samego siebie w rozmaitych epokach życia. Pamiętnik zdarzeń zewnętrznych, wobec pamięciowej zdolności kojarzenia w tym wypadku, okazuje się zbytecznym, przeżycia jednak wewnętrzne, myślowe i uczuciowe giną w pomroce nawału lektury, rozmów, nieuchwytnych błysków skojarzeniowych i t. d. Dlatego zapisywanie ich byłoby może najracjonalniejsze i możliwe w formie szczerości intellektualnej, pozbawionej chwilowo analizy i krytycznego osądzania, do którego kłamstwo wnikaćby mogło po fakcie. Najpierwotniejszą postacią takiego pamiętnika są zapiski, czynione na marginesie książek, lub notaty z lektury niejednokrotnie pomocne w znaczeniu przeglądu rozwoju idei. To jest ideał, w praktyce jednak na podobnego rodzaju pra-

cy nie da się schwytać żaden „wyrobiony“ literat, który siłą rzeczy wprowadzi do pamiętnika i ten pierwszy zewnętrzny pierwiastek pisania dla innych, w nadziei możliwej nieśmiertelności: na wszelki wypadek zabagnia dokument duszy narowami fachu.

Taki pamiętnik napisał Salomon Majmon posuwając pozorną szczerość myśli i poglądów do kłamliwego obmyślania planowego układu książki i chełpliwości.

Gdyby zapowiadany oddawna pamiętnik Brzozowskiego przybrał formę skończoną, określoną przedewszystkiem w charakterze założeniowym, obejmującą pewien zwarty okres ruchu umysłowego, ubocznemi stałyby się jego wady mieszanej konstrucji.

Początkowe fragmenty mają nalot szczerości intellektualnej, wyraz pewnego sentymentu do własnego umysłu i jego skojarzeniowych zdolności, w miarę jednak posuwania się naprzód ginie wdzięk Brzozowskiemu właściwy, ów mimo srogich postulatów idący utajony romantyzm myśli — zgryźliwość chorobliwa bierze przewagę. Nie mówiąc o pomieszaniu założeń celowości i formy z nią związanej, pamiętnik Brzozowskiego posiada kardynalny błąd zbytniego przywiązywania wagi do utrapień każdemu danych (np. uraza do krytyków), które pokrywać się stara rzadko rzeczową polemiką częściej igraszką epitetów kawiarnianych.

Umysłowość Brzozowskiego była skonstruowaną jednolicie pod względem formalnym, bujnie i rozstrzelenie w ogromie treściowych zagadnień zagmatwana, wydobyć nie mogła własnego głosu z poza gęstwy cisnących się do gardła słów, zapytań i odpowiedzi, które objąć pragnęła. Dzieła jego są ciągłym szeregiem metodycznej jednostronności myślenia, objawiającej się w koncentrycznem wchłanianiu wszystkiego naokół, zdolnej do najśmielszych i najgłębszych często skojarzeń, lecz i bojaźliwej nieufnością w stosunku do samej siebie, czułej jak czułek na zewnętrzne brutalne często dotknięcia krytyki, która kazała wracać do wartościowania" własnego wnętrza. Tu się tłomaczy stosunek Brzozowskiego do Irzykowskiego.

Cechę Brzozowskiego stanowi to, że był on *genialnym czytelnikiem*, że trawił go niepokój w stosunku do treści umysłowych przeżyć, wymykającej się z narzuconych wędzideł przypadkowo skonstruowanych podziałów. Zachłanność nie rozwiązania żąda lecz zagadnień jako takich, gnała go wśród labiryntów od książki do książki, popierana przekonaniem, że skoro istnieje „ja“ świadome, obowiązkiem jego jest poznawać i poszukiwać największej ilości zagadnień narzucających się świadomości. „Pamiętnik“ Brzozowskiego przestaje być dla krytyka jakimkolwiek rodzajem ściśle określonego utworu literackiego, staje się natomiast dokumentem charakteryzującem stosunek autora do własnego umysłu. Uwidocznia się to zawsze mimowolnie, niezależnie od intencji autora i tu trzeba szukać pierwiastków *szczerości*. Nie nowina, że ludzie kłamią aż do okłamywania samych siebie, tembardziej w książkach, artykułach i t. d. lecz wartość prawdziwą odnaleść można bez trudu poza nawałem perfidji. Trudno mi zgodzić się z p. Irzykowskim w ocenie „Pamiętnika“, ze względu na aprioryczne uprzedzenia w jego krytyce i stosunku do wszelkiej produkcji literackiej. P. Irzykowski [1]) wartościując „Pamiętnik“ jest skłonny nawet do usprawiedliwienia Brzozowskiego, lecz zapomina teoretyzując na temat pamiętnika wogóle, o wartości pozanamacalnej w tem dziele, którą krytyk wyzwolić powinien. Jako bezpośrednio zainteresowany oponent p. I. ma rację wgłębiania się w zewnętrzne czynniki uprzedzeń i sądu Brzozowskiego, lecz do chwili, w której zaczyna się polemika poglądów, ponieważ tu pomijać należy wszelkie chwilowe rozczarowania i wylewy żalu za niesprawdzone nadzieje w stosunku do autora „Pamiętnika“.

Zapiski Brzozowskiego, pominąwszy mocno snobizmem pachnące wstęp i objaśnienia p. Ortwina, podlegać mogą dziś jeno analizie psychologicznej, nie polemicznej, zwłaszcza, że o ich wartość myślową i literacką nikt kopji kruszyć nie będzie.

Skry.

Istnieją rozmaite odmiany przyjaciół.

Są tacy, którzy zdążają za tobą na drodze umysłowości, a gdy już zdążyć nie mogą, śmieją się z ciebie, pozostając w tyle.

Są tacy, którzy czując się nazbyt leniwi, aby wyzwolić się z jakiejś idei, która cię przypadkiem zaprzątnęła, nazywają rozwój twój — niestałością przekonań.

Są tacy, którym trzech lat potrzeba dla zrozumienia rzeczy, którą im tłomaczysz (np. nowego kierunku w polityce, w sztuce, w filozofji); a gdy ją wreszcie zrozumieli, nie omieszkają uczynić z niej argumentu przeciw tobie samemu, skoro pójdziesz dalej.

Są tacy — — —

Są nakoniec tacy, którzy szczupłym swym gronem uosabiają wszystek tłum z jego najbardziej zwierzęcymi popędami i przeciwko którym nic nie możesz wskórać, ponieważ są to twoi przyjaciele.

---

[1]) «Nowa Reforma» styczeń, artykuł p. t. «Pamiętnik Brzozowskiego.»

Książki nadesłane do Redakcji.

A. Paliński: «Chopin.» Nakład księgarni Leona Idzikowskiego 1914 Warszawa, — Kijów. Str. 112 (in 16-o).

Jan Lemański: «Satyra Polska». Tom I i II Str. XXIX+208+236. «Muzy,» biblioteka literecko-artystyczna pod redakcją J. Lorentowicza. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i Sp. Warszawa, H. Altenberg — Lwów.

Jan Łada: «Mag.» Powieść z ostatnich lat panowania Zygmunta III Tom I i II Str. 714. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego Kijów — Warszawa, 1914.

Andrzej Niemojewski; «Dusza żydowska w zwierciadle Talmudu.» Warszawa, 1914. Nakładem autora (Marszałkowska 55 m. 8) Str. 186. Cena rb. 1.

Jadwiga Marcinowska: «Vox Clamuntis». Powieść. Nakład Gebethnera i Wollfa. Warszawa — Lublin — Łódź. Str. 277. Rok 1914. Cena rb. 1 kop. 50.

Bronisława Włodkówna: «Proste dzieje». Wspomnienia. Nakład Gebethnera i Wollfa. Warszawa — Lublin — Łódź. 1914. Str. 176. Cena rb. 1 kop. 20.

Tadeusz Nalepiński: «Śpiewnik rozdarty». Nowele. Naład i druk Tow. akc. S. Orgelbranda synów. Składy główne: E. Wende i Sp. Warszawa, H. Altenberg — Lwów Str. 300..

Czerwony Kogut: Nowele litewskie w tłomaczeniu Kazimierza Puidy, z przedmową J. Weyssenhoffa. Nakład Gebethnera i Walffa: Warszawa, Lublin, Łódź. Str. 256.

Jerzy Żuławski: «Przed zwierciadłem prawdy». Szkice filozoficzne. Nakład i druk Tow. akc. S. Orgerbranda synów. Skład główny: E. Wende i Sp. w Warszawie, H. Altenwe Lwowie. Str. 318.

Ofiary.

Na szkołę ludową w Bratnem: B. Hummel rb. 5.

Na stypendjum dla uczenicy szkoły polskiej: A. B. rb. 50.

Na wpisy dla uczni szkół polskich: Stefan Molendziński z Ekaterynodaru rb. 7 kop. 50.

Odpowiedzi Redakcji.

P. T. W. Adres Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych Warszawa, pl. Św. Aleksandra 6.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE

Cechą charakterystyczną otyłości stanowi nadmierne nagromadzenie się w tkankach tłuszczu, który utrudnia działalność narządów, i stanowi źródło ustawicznych udręczeń w życiu codziennym chorego i staje się powodem ciągłego niepokoju o zdrowie.

Spostrzeżenie przekonywa, że kobiety częściej podlegają otyłości, aniżeli mężczyźni, a to dzięki większej skłonności płci pięknej do tego cierpienia z powodu pewnych właściwości ustroju kobiecego.

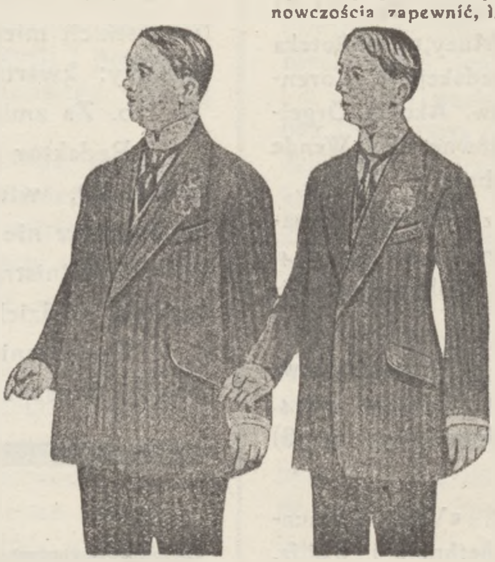
Z drugiej zaś strony, otyłość nie stanowi rzadkości i wśród dzieci, u których to cierpienie dochodzi niekiedy do znacznego stopnia rozwoju.

Leczenie otyłości dało dowód doświadczeniu do stworzenia całej masy bezzasadnych i wprost naiwnych przepisów postępowania, które stały się bogatą kopalnią, skąd szczodrą ręką czerpała szarlatanerja wszelkiego rodzaju. To też przy wyborze środków w omawianym wypadku należy być wielce ostrożnym.

Niezmiernie ważną jest rzeczą aby leczenie otyłości było stosowane stopniowo i w sposób łagodny: strata 5 do 7 funtów na miesiąc, trwająca stale w ciągu określonego czasu w większości wypadków powinna być uważana za wystarczający wynik kuracji. Taki umiarkowany ubytek wagi jest zwykle znacznie trwalszy, aniżeli gwałtowny jej spadek. Dlatego też po kilkodniowym leczeniu należy przerwać kurację na 12 dni i dopiero po tej przerwie rozpocząć ją na nowo.

Z pośród wielu środków, stosowanych przeciwko otyłości, najgodniejszym polecenia jest jeden, działający pewnie i zupełnie nieszkodliwy dla ustroju, który będąc stosowanym przez lekarzy od 6 lat, dał im sposobność przekonania się o jego skuteczności: „JODYRINA" (JODHYRINE) odkryta przez D-ra Deschamp'a znanego lekarza francuskiego, jest właśnie tym lekiem, na który zwracamy uwagę.

JODYRINA wzmaga wydzielanie się żółci i przyspiesza przemianę materji i istotnie odmładza ustrój, przywracając chorym utraconą energję i żywość ruchów, stanowiący rażący kontrast z poprzednią chorobliwą ociężałością i ospałością. Chorzy czują się silniejszymi, posiadają więcej energji i stają się zdolniejszymi do większych i dłuższych wysiłków; chód ich przestaje być ociężałym, mniej się pocą, wyzbywają się senności, trawią lepiej, dzięki czemu sen ich nie pozostawia nic do życzenia.



Skutek 3 miesięcznej kuracji Jodyriną D-ra Deschamp'a.

Opierając się na sześcioletnim doświadczeniu najwybitniejszych lekarzy całego świata, możemy z całą stanowczością zapewnić, iż stosowanie Jodyriny przeciw otyłości stanowi jedyny i zupełnie racjonalny środek leczenia tego cierpienia, sposób który nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla ustroju, a który został zbadany dokładnie i oparty na wiedzy czysto naukowej.

Tysiące zaświadczeń, ustawicznie nadsyłanych na ręce D-ra Deschamp'a stanowi prawdziwie „złotą księgę" Jodyriny. Powyższe zaświadczenia mają tym większą wagę, że są nadsyłane z własnej inicjatywy chorych co też zniewala D-ra Deschamp'a do zachowania dyskrecji i do nieogłaszania ich bez bezpośredniej zgody osoby zainteresowanej.

JODYRINA D-ra Deschamp'a nietylko jest lekiem swoistym przeciwko otyłości, ale, będąc stosowana zapobiega temu cierpieniu u osób, dotkniętych artretyzmem, dną (podagrą, gośćcem, reumatyzmem), małokrwistością u kobiet, zbliżających się wiekiem do okresu przekwitania i t. p. słowem u wszystkich, którym w krótkim czasie grozi otyłość. We wszystkich tych przypadkach nie należy zwlekać z rozpoczęciem kuracji, gdyż każde opóźnienie często pociąga za sobą niepożądane skutki, nierzadko jest połączone nawet z niebezpieczeństwem dla samego ustroju.

EMIL GAUTIER

Sprawozdawca naukowy czasopisma paryskiego „Le Journal".

JODYRINA D-ra Deschamp'a znajduje się w sprzedaży we wszystkich aptekach, składach aptecznych po cenie Rb. 4.25 za pudełko zawierające 60 pastylek w opłatkach.

Przy pudełku dołączony jest szczegółowy opis ze sposobem użycia w języku polskim. Reprezentacja Główna na Rosję i Królestwo Polskie: Dom Handlowy Luxemburg i S-ka, Żórawia 40, w Warszawie.

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.